

@ Copyright by Tadeusz Binek, Kraków 1999

Projekt okładki Tadeusz Binek

***Moim synom :
Maciejowi i Grzegorzowi
poświęcam***

Kraków 1999
Wydawca F-ma „BETA”

PRZEDWOJENNY GÓRNY ŚLĄSK

Drzewo genealogiczne * Lata dziecięce * Przedszkole * Szkoła podstawowa * Skrócone wakacje 1939

Moje rozpoznane przeze mnie drzewo genealogiczne sięga jedynie moich dziadków. Wprawdzie ojciec twierdził, że jego prababka była księżną rosyjską, ale wszyscy w rodzinie uważaliśmy te opowiadania za przejaw wybujałej fantazji.

Tata mego ojca był rolnikiem, miał spore gospodarstwo rolne we wsi Kuźnica Bobrowska w powiecie ostrzeszowskim województwa poznańskiego. Miał też przez wiele dziesiątków lat warsztat kuźniczy, spełniając, jakby to się dzisiaj powiedziało, usługi wobec ludności.

W rodzinie było 6 dzieci, dwie córki i czterech synów. Czworo z nich pozostało rolnikami i gospodarowali na roli w tejże Kuźnicy Bobrowskiej lub w sąsiednich Bobrownikach. Najstarszy syn wyemigrował do Westfalii, tam założył rodzinę i już pozostał na zawsze. Najmłodszy, to jest mój przyszły ojciec, poszedł w jego ślady i również wyjechał za pracę do Westfalii kilka lat przed I wojną światową. Pracował tam przez pewien czas w kopalni węgla kamiennego.

Z wybuchem wojny został powołany do wojska i brał udział, oczywiście po stronie niemieckiej, w walkach nad rzeką Sommą i pod Verdun. Pod koniec wojny, nie chcąc dalej walczyć za obcą sprawę, ojciec przestrzelił sobie z karabinu ramię przez papkę z chleba, żeby nie było śladu prochu. Trafił wtedy do lazaretu w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie przebywał do listopada 1918 r.

W grudniu 1918 r. brał udział w powstaniu wielkopolskim, walcząc w rejonie Ostrzeszowa i Wieruszowa, zaś w maju 1921 r. w trzecim powstaniu śląskim, dowodząc kompanią powstańczą w walkach o miasto Olesno. Następnie zatrudnił się jako zawodowy wojskowy w Straży Granicznej. W 1923 r. został oddelegowany do służby na granicy czechosłowackiej w Worochcie we Wschodnich Karpatach. Tam pracując, ożenił się w miasteczku Monasterzyska w województwie tarnopolskim.

Mama pochodziła również z licznej rodziny, bo miała 7 rodzeństwa. Rodzice jej posiadali kilkunastohektarowe gospodarstwo, zaś ojciec pracował dodatkowo w fabryce tytoniu w Monasterzyskach. Obydwoje wywodzili się ze staropolskich, czy ruskich rodów szlacheckich Pielichatych i Lipków. O tym rodowodzie świadczył, między innymi, odziedziczony po przodkach typowy dworek szlachecki z dwukolumnowym portykiem, usytuowanym na osi budynku, w którym zamieszkiwali, oraz usytuowany za nim spory sad i ogród.

W przygranicznej miejscowości Jabłonica koło Worochty rodzice mieszkali w drewnianym budynku posterunku Straży Granicznej. W 1925 roku urodziła się moja siostra Helena, natomiast ja w roku następnym, otrzymując na chrzcie imiona Tadeusza i Kazimierza. Osobiście nic, a nic nie pamiętam z tej ponoć uroczej miejscowości, zagubionej w huculskich lasach, gdyż rodzice przenieśli się na Górny Śląsk, gdy miałem dwa lata. Nie przeszkadzało mi



Rodzice po ślubie

to później określać się jako Hucuł. Zresztą również uważałem się za Ślązaka, a także za Wrocławia, zależnie od rozmówcy i okoliczności.

Zanim ojciec załatwił mieszkanie na Śląsku, mieszkaliśmy przez kilka miesięcy u dziadków na wsi w Kuźnicy Bobrowskiej. Tam zdarzyła mi się ciężka choroba, o której rodzice nieraz mi później opowiadali.

Mianowicie raz, w okresie zimy, wszyscy domownicy przebywali w ogrzewanej kuchni, gdzie biesiadowali i grali w karty. Ja spałem w sąsiednim pokoju sypialnym wujostwa, w którym, podobnie jak w kuchni, było bardzo gorąco. Ale po skończonej grze w karty, w środku nocy, mama zabrała mnie do naszego gościnnego pokoju na poddaszu. Pomieszczenie to nie było ogrzewane, przeziębilem się wówczas i nabawiłem obustronnego zapalenia płuc. Stan mego zdrowia wkrótce był tak beznadziejny, że zapalono na już gromnicę. Wbrew pesymistycznym rokowaniom lekarza, organizm mój zmógł jednakże chorobę i szybko ozdrowiałem. Wtedy dziadkowie orzekli zgodnie, że będę żyć długo i w dobrym zdrowiu, co jak dotąd sprawdza się mniej więcej.

Na Śląsku, w miejscowości Łagiewniki Śląskie, ojciec został przodownikiem Straży Granicznej. Wkrótce objął kierownictwo placówki granicznej. Stanowisko to sprawował do wybuchu wojny w 1939 roku.

Łagiewniki Śląskie była to osada górnicza, usytuowana bezpośrednio przy granicy państwowej z Niemcami, pomiędzy niemieckim Bytomiem, a Świętochłowicami i Chorzowem. Liczyła 26 tysięcy mieszkańców, ale nie miała statusu miasta. W miejscowości tej przebywałem do 13. roku życia, przeżyłem tam więc najbardziej beztroskie lata dzieciństwa i nauki w szkole podstawowej.

Pierwsze moje wspomnienia związane są z miejscem zamieszkania, to jest z samym mieszkaniem, podwórkiem i najbliższym otoczeniem. Mieszkanie, jakie zajmowaliśmy początkowo przy ulicy Sienkiewicza, to była jedna izba, mniej więcej o wymiarach 4 * 2,5 metra, na pierwszym piętrze pod dachem. Był to właściwie strych adaptowany na izbę mieszkalną. Nieduże okno znajdowało się na krótszej ścianie izby naprzeciwko drzwi, sufit częściowo był skośny, schodząc do około 1,6 m wysokości. Dalej był nieco niższy schowek. Tam stały kosze z rzeczami, pościelą i ubiorami.

Na tymże pierwszym piętrze po obu stronach drewnianych, jednobiegowych schodów były jeszcze dwa mieszkania po dwa nieduże pokoje. Mieszkały w nich dwie rodziny górników. Podobnie na parterze. W sumie był to właściwie spory murowany dom jednorodzinny, podnajmowany pięciu lokatorom przez właściciela działki, na jakiej znajdował się budynek. Na parceli były jeszcze zabudowania gospodarcze: obora i stodoła, wraz z gnojowiskiem i sławojką, zaś od strony ulicy nowszy parterowy dom mieszkalny. Przed nim znajdowała się mała sadzawka - basen.

Pamiętam, jak raz siedziałem na brzegu i wpatrywałem się w koliste fale, powstające po wrzuceniu przeze mnie kamyczków. Tak intensywnie i z uwagą je obserwowałem, że wpadłem do wody. Byłbym chyba się utopił, ale ktoś mnie szybko z sadzawki wyciągnął. Pamiętam też, że wielokrotnie zjadałem zaprawę wapienną, jaką wydrapywałem ze spoin ściany naszego domu. Najwidoczniej uzupełniałem w ten prosty sposób braki wapna w organizmie.

Byłem z natury zawsze bardzo spokojny i grzeczny, ale też i zawzięty i zdeterminowany w razie potrzeby. Na podwórku podczas zabawy ciągle obrywałem lanie od nieco starszego kolegi. Raz, płacząc, poszedłem ze skargą do ojca. On jednakże ani myślał interweniować, najspokojniej doradził mi, abym się odwzajemnił tym samym. Wróciłem więc na podwórko i zawzięcie zacząłem kolegę okładać pięściami, nie zważając, że był ode mnie wyższy i znacznie silniejszy. Faktycznie, ta moja determinacja przemówiła widocznie do niego, bo od tego czasu dał mi już spokój.

Bardzo często mama zabierała mnie ze sobą na zakupy do pobliskich sklepów. Pomagałem też przy różnych zajęciach domowych. Byłem także od najmłodszych lat niepoprawnym domatorem. Bawiłem się chętnie sam pod stołem, lub w kąciaku, czym popadło. Często rodzice musieli mnie zachęcać, abym poszedł na podwórko do kolegów.

Gdy coś mnie zaciekawiło, to zapominałem całkowicie o bożym świecie. Raz mama posłała mnie po południu do pobliskiego sklepiku po ocet. Zapewne potrzebny był do obiadu. Dostałem nań 80 groszy, które trzymałem mocno w prawej dłoni.

Ale kilkadziesiąt metrów za sklepikiem, przy głównej ulicy Mickiewicza, był spory plac targowy. W tym dniu akurat zajęchały na plac konne wozy z budami oraz karuzelami. Właśnie zaczynało się montować. Poszedłem więc, żeby się temu ciekawemu zdarzeniu przypatrzeć z bliska. Do dziś pamiętam cały montaż kolorowej, pięknej karuzeli z huśtawkami. Nie zauważyłem, że zrobił się zmrok i dopiero, gdy było już zupełnie ciemno, pobiegłem do domu. Starłem się jak najciszej iść po schodach do góry, lecz schody były drewniane i skrzypiały. Otworzyły się drzwi do naszego pokoiku i zobaczyłem ojca, który dawno już wrócił z pracy. Porwał mnie i po sprawdzeniu, że nie mam ani octu, ani pieniędzy, przełożył na kolanie i zaczął okładać z całej siły swym służbowym pasem. Cierpiałem straszliwie, ale nie wydałem żadnego głosu. Z opresji wyratowała mnie, oczywiście, matka, która z krzykiem stanęła w mojej obronie. Było to największe lanie, jakie doświadczyłem w swym życiu.

Gdy byłem na targowisku, matka z siostrą przeszukały całą okolicę i wypytywały o mnie wszystkich sąsiadów. Zachodziły nawet na ten plac targowy, ale tam w zgiełku i rejewachu nie mogły mnie dostrzec, siedzącego w jakimś zakamarku i wpatzonego w montaż „boskiej” karuzeli. Na drugi dzień razem z siostrą szukaliśmy rano te 80 groszy na całej drodze i na placu targowym, lecz bezskutecznie.

Takie zapominanie się w czymś, co mnie interesowało, towarzyszyło mi potem przez całe moje życie. Niezależnie od tego, czego to dotyczyło: klejenia zabawek, lektury, uczenia się, rysowania, czy pracy zawodowej.

Te karuzele przyjeżdżały do Łagiewnik co roku. Z przyjemnością jeździłem chyba na wszystkich, również na diabelskim kole, z którego widać było pół osiedla. Marzyło mi się też wdrapanie na drewniany „słup szczęścia”, na szczycie którego zawieszane były pęta kielbasy. Byłem świadkiem, jak udało się to nieco starszemu ode mnie chłopcu. Ćwiczyłem takie wdrapywanie się na słupie oświetleniowym, ale bez efektu - do tego trzeba było mieć zręczność małpy.

Gdy miałem pięć lat zapisany zostałem do przedszkola, znajdującego się niedaleko na tej samej ulicy Sienkiewicza. Prowadziły je zakonnice. Z tego przedszkola pamiętam właściwie tylko jedno zdarzenie. W okresie Świąt Wielkanocnych siostry ukryły na terenie obszernego ogródka cukrowego zajęczka. My, przedszkolaki, mieliśmy go odszukać. Oczywiście słodki zajęczek miał przypaść temu, który go znajdzie. Bardzo chciałem być tym szczęśliwcem i skrupulatnie i z przejęciem szukałem ukrytego skarbu. Nie ja go jednakże znalazłem. Za to do dzisiaj mam w oczach ten ogródek, drzewka, grządki i ogrodzenie z siatki na działce przedszkola.



W atelier fotograficznym

W ogóle wszystkie moje wspomnienia polegają na pamięci wzrokowej. Pamiętam wygląd rzeczy, osoby, całe panoramy widokowe. Natomiast zawsze miałem problemy z zapamiętaniem nazwisk, tytułów, dat, lektur i wszelkich pojęć abstrakcyjnych.

Jeszcze w okresie przedszkolnym miałem jednego serdecznego kolegę Dyjusia, syna górnika, który mieszkał obok nas w tym samym budynku. Grywaliśmy z innymi chłopakami w szmacyaną piłkę na pobliskiej łączce i wałęsaliśmy się po okolicy. Najdalej zapuszczaliśmy się na tereny biedaszybów pod Chorzowem. Trzeba tam było uważać, by nie wpaść do głębokich dołów. Były to szybiki, w których odbywał się nielegalny urobek węgla kamiennego, zwłaszcza w okresach kryzysowych.

Polegało to na tym, że bezrobotni górnicy spuszczeni byli przy pomocy przewoźnego kołowrotu w głąb szybu-studni, gdzie kilofem wybierali węgiel do wiader. Wiaderka te były następnie wyciągane na powierzchnię, a przez ten czas górnik chował się w boczną niszę studni. Wiaderko z węglem zaraz było zabierane, zaś na dół spuszczano puste. Wydobyty węgiel odwożono do domów małymi wózkami. Wszystkie czynności na powierzchni wykonywali nieletni chłopcy, synowie górników. Rozstawieni byli też wokół na czatach i, gdy tylko ktoś niepowołany się zbliżał, natychmiast gwizdem dawali o tym znać. Te boczne nisze w szybkach, niewidoczne z góry, służyły niekiedy za schowek górnikom w przypadku „nalotu” policji na teren biedaszybów.

O tej niebezpiecznej, nielegalnej pracy bezrobotnych górników dowiedziałem się wiele lat później, gdyż żaden z kolegów nigdy nie zdradził się przede mną ze swego udziału w czatach i chowaniu wydobytego węgla. Chociaż dziwiłem się niekiedy, że nie ma chłopaków do gry w piłkę, zwłaszcza gdy dni były zamglone lub ciemne i pochmurne.

Obok tej łąki, na której graliśmy w piłkę, było kilka niedużych familoków z czerwonej cegły. Na parterze jednego z nich mieszkał mój szkolny kolega Zyguś. Odwiedziłem go kilka razy, przywołani przez jego mamę, która częstowała nas pajdkami chleba ze smalcem. Zauważyłem, że Zyguś i jego starszy brat z bardzo wielkim szacunkiem odnosili się do swego ojca. Był on górnikiem, ale w tym czasie chyba okresowo nie pracował w kopalni i najprawdopodobniej trudnił się właśnie nielegalnym urobkiem węgla na biedaszybach. Pamiętam, raz w trójkę siedzieliśmy na zydelkach, a on mówił o niesprawiedliwościach tego świata. Mówił składnie i przekonująco, być może był jakimś działaczem robotniczym.

Niekiedy wraz z Dyjusem chodziłem do niedalekich ogródków pracowniczych, gdzie jego rodzice mieli działkę. Była na niej spora altanka, w której latem przebywali całą rodziną, często przez wiele dni, podczas pięknej, słonecznej pogody. Takie działki miały praktycznie wszystkie śląskie rodziny. Uprawiano na nich warzywa i owoce dla swoich potrzeb, często hodowano również króliki i gołębie. Dodatkowym celem hodowli tych zwierzątek, obok dostarczenia relaksu ich właścicielom, było zapewne pozyskiwanie smacznego mięsa oraz skórek króliczych na kołnierze płaszczy i kurtek.

Nie mniej rozpowszechniona była na Śląsku hodowla kanarków w drucianych klatkach, zdobiących mieszkania zwłaszcza górników i hutników. Dla nich te piękne, śpiewające i barwne, żółtozielone, małe ptaszki stanowiły niewątpliwie antidotum na ich znojną, ciemną pracę.

Natomiast w rodzinach miejskich prawie zupełnie nie trzymano kotów ani psów. Te zwierzęta przypisane były do gospodarstw wiejskich, w których pełniły określone, praktyczne funkcje. Ja przez pewien czas miałem ślicznego, biało-rudego chomika. Był to zwierzak bardzo czysty, ruchliwy i ciekaw świata i ludzi. Tak bardzo, że uciekł mi przy okazji spaceru na łączce przed domem.

Mój ojciec zawsze gustował w różnych nowinkach technicznych. Między innymi postarał się o aparat radiowy wtedy, gdy ten wynalazek stał dopiero u progu swej wiel-

kiej kariery. Była to niewielka skrzynka drewniana, na której u góry wmontowana była jedna lampa radiowa, trochę jakichś oporników i pokrętko. Sercem aparatu, oprócz lampy, był jakiś kryształek i dlatego mówiło się, że jest to radio kryształkowe. Słuchało się go przy pomocy blaszanych słuchawek zakładanych na uszy. Regulacja głośności następowała przez kręcenie wspomnianym pokrętkiem. Radio to odbierało tylko jedną najbliższą radiostację w Katowicach.

Do tych nowinek należał też aparat fotograficzny z wysuwającym miechem, zegarek kieszonkowy z dewizką i wreszcie, znacznie później, niemieckie radio wielozakresowe, z wbudowanym głośnikiem, w fornirowanej obudowie.

W wieku siedmiu lat zacząłem naukę w szkole podstawowej w Łagiewnikach Śląskich przy ul. Mickiewicza. Budynek szkoły był okazały, dwupiętrowy, z czerwonej cegły. Miał solidne murowane ogrodzenie, podwórkę o długości 100 metrów, oddzielny budynek mieszkalny dla nauczycieli i murowane szalety na podwórku. Zapewne służy celom dydaktycznym do dzisiaj.

Wyposażenie szkoły, jak na warunki przedwojenne, było bardzo bogate. W przyziemiu znajdowały się łaźnie z natryskami i szatnie, na piętrach gabinety fizyki, chemii i geografii, wyposażone w sprzęt specjalistyczny; sala gimnastyczna, świetlica.

Klasa, do której chodziłem, była bardzo liczna, gdyż liczyła 44 uczniów, samych chłopaków. Siedzieliśmy w dwuosobowych ławkach, ja zawsze w pierwszej. Ławki były drewniane, z oparciem, miały półkę na książki i zeszyty oraz blat z rowkiem na obsadki i wydrążeniem na kałamarz.



Pierwsza klasa w komplecie. Ja w drugim rzędzie, trzeci od lewej

Bardzo aktywny był samorząd rodzicielski, który organizował oraz finansował różne przedstawienia dziecięce i imprezy okazjonalne. W kole rodzicielskim cały czas udzielała się wydatnie moja matka, pełniąc różne funkcje. Pamiętam, jak sam brałem udział w jakimś przedstawieniu, w którym grałem rolę Żyda. Miałem bowiem długie, kręjące się włosy. Nie wyszła mi ta rola, gdyż zawsze byłem wstydlivy i miałem dużą tremę. Po przedstawieniu dzieci otrzymały bardzo słodki, smakowity tort, którym się potwornie

objadłem.

Staraniem szkolnego koła rodzicielskiego odbyły się raz występy prestidigitatorów w świetlicy, urządzone dla młodszych klas. Byłem bardzo sceptyczny w stosunku do prezentowanych sztuczek z kartami, polykaniem sztyletów, zapalaniem zwykłej wody na talerzu i innych podobnych magii. Ale naprawdę zafascynowało mnie przekuwanie i zawieszanie klódek na policzkach zgłaszających się ochotniczo kolegów. Oczywiście po tych przekluciach nie było żadnych śladów.

Gdy chodziłem do trzeciej klasy prezentowałem się bardzo mizernie. Byłem chudy, blade, nadmiernie chorowity, a prześwietlenie płuc wykazało, że mam początki gruźlicy. Ojciec wystarał się więc o skierowanie mnie do Dziecięcego Sanatorium Przeciwgruźliczego w Istebnej.

Wiele z pobytu w nim pamiętam. Przy przyjęciu wszyscy pensjonariusze byli strzyżeni oraz starannie kąpani, zaś zdezynfekowana odzież w workach wędrowała do depozytu. Przy tej okazji straciłem swoje długie włosy z grzywką, czego nie żałowałem, bo już wstydzilem się nosić włosy jak dziewczynka.

W sanatorium panowała ścisła dyscyplina i określony porządek dnia. Rano pobudka, mycie się, ścielenie pościeli, apel, śniadanie, normalna nauka w małych klasach. Po obiedzie leżakowanie w słońcu na obszernych balkonach, czasem spacer w pobliżu sanatorium. Wieczorem gry i dowolne zabawy. Ja najczęściej grywałem wtedy w szachy, warcaby lub młynek. Czytałem też sporo przygodowych, młodzieżowych książek. W sanatorium nauczyłem się pewnych pożytecznych zajęć, jak składanie koszul i pidżamy, czy prasowanie spodni przez podłożenie ich na noc pod prześcieradło. Miałem też okazję nauczenia się używania różnych brzydkich słów i nieprzyzwoitych zachowań, z czego raczej nie skorzystałem. Na sali rej wodzili samozwańczy przywódcy, wymuszający siłą uległość i posłuszeństwo innych. Ja jednakże nie byłem przez nich napaństwany, bo ogrywałem wszystkich w warcaby oraz damkę i nie szukałem zwady z nikim.

Miałem wówczas wilczy apetyt i potrafiłem po kilka razy repetować co bardziej smakowite zupy, czy inne posiłki. Przytyłem więc i zmężniałem w czasie miesięcznego pobytu w sanatorium tak, że ojciec nie poznał swego synka, gdy przyjechał zabrać mnie do domu.

Krótko po powrocie dostałem kilka dni zwolnienia od nauki, ponieważ miałem narysować obraz na wystawę prac szkolnych, urządzaną w Katowicach. Temat miałem zadany, wiązał się z propagandą oszczędzania w Pocztowej Kasie Oszczędności. Treść rysunku też bodajże była mi zasugerowana. W każdym bądź razie przedstawiał on na pierwszym planie tonący statek i rozbitków na wzburzonych falach, a z boku podpływające rekiny z napisami: głód, bieda, choroby itp. Zaś na drugim planie płynął piękny statek z zadowolonymi pasażerami na pokładzie. Ci rozbitkowie symbolizowali nędzny los ludzi nie oszczędzających w PKO, zaś szczęśliwi pasażerowie dostatni los zapobiegliwych ciułaczy. Rysunek był tak duży, iż górne jego partie rysowałem klęcząc na stole.

Tak nawiąsałem mówiąc, to właściwie nikogo w okresie międzywojennym do oszczędzania nie trzeba było zachęcać. Robiło to samo życie. Nie było wszak powszechnych, obowiązkowych ubezpieczeń społecznych. Ktoś, kto tracił zdrowie, czy pracę, a nie miał jakichś oszczędności ni majątku - praktycznie staczał się na dno węgietacji. Dlatego też oszczędzanie na tak zwaną „czarną godzinę” było absolutnym kanonem działania ówczesnego społeczeństwa. Wpojony przez wychowanie i ustrój ekonomiczny reżym oszczędzania był bezwzględny. Na życie dostatnie i rozrzutne pozwolić sobie mogła tylko bardzo nieliczna warstwa ludzi bogatych. Zaś lekkomyślni utracjusze, żyjący beztrosko z dnia na dzień, często marnie kończyli.

Jakże odmieniło się pod tym względem polskie społeczeństwo po drugiej wojnie światowej. Zresztą nie tylko polskie, ale we większości krajów Europy. Tej odmienności stylu życia w Polsce młode pokolenie zapewne nie jest w stanie sobie wyobrazić i zrozumieć. Tu dodam, że to wielkie lanie, jakie od ojca dostałem, zainkasowałem nie dlatego, iż zawieruszyłem się na kilka godzin, lecz dlatego, że zgubiłem owe 80 groszy na ocet. I doskonale rozumiem i oceniam pozytywnie reakcję ojca.

Ale, gdy później mego małego synka posyłałem do sklepu po zakupy, to specjalnie dawałem mu banknoty o większym nominale. Chciałem, żeby je zgubił, żeby poczuł potem swą winę i nauczył się sam dbać o materialne wartości tego świata. Oczywiście nie dostałby ode mnie nawet marnego klapsa.

Sam ongiś byłem niepoprawnym sknerą. Często mama dawała mi do szkoły kilkadziesiąt groszy na kupno jakiejś kanapki w kiosku spożywczym przed szkołą. Ja przeważnie głodowałem, zaś grosiki wkładałem do swej skarbonki: fajansowej, bruchatej świnki. Gdy była ona już pełna monet, musiałem ją rozbić, gdyż nie miała żadnych drzwiczek, jedynie szparę na grzbiecie na wrzucanie bilonu. Zaoszczędzone pieniądze oddawałem ojcu.

To moje sknerstwo nie brało się oczywiście z powietrza, lecz było efektem wychowania i obserwacji zachowań ludzi dorosłych, zwłaszcza rodziców. Na przykład, gdy byłem w wieku przedszkolnym, to podczas jazdy pociągiem, rodzice, gdy tylko mogli, to szmuglowali mnie na gapę. Pamiętam, jak raz jechałem, stojąc na ławce przy oknie, skryty przed konduktorem za wiszącymi płaszczami. Czułem się jak przysłowiowa mysz pod miotłą.

W tym jednoizbowym mieszkaniu przy ul. Sienkiewicza mieszkaliśmy około 6 lat. Ojciec starał się oczywiście cały czas o coś lepszego, lecz nie była to łatwa sprawa. W całym przygranicznym powiecie świętochłowickim, do którego Łagiewniki należały, nowe budownictwo było bardzo ograniczone. Nie wiem co było tego powodem, może to, że powiat ten był najgęściej zaludnionym w całej Polsce, gdyż liczył 320 mieszkańców na 1 km kwadratowy.

Wreszcie jednak uzyskaliśmy nowe mieszkanie na terenie kopalni węgla kamiennego i Huty Zygmunt w osiedlu Hubertus. Składały się nań dwa pokoje i przedpokój, wcześniej wykorzystywane na jakieś biuro, o czym świadczyły okienka podawcze. Posadzki były cementowe, kuchnię rodzice urządzili w mniejszym pokoju, gdzie był zlew. Było to mieszkanie znacznie większe i wygodniejsze od poprzedniego. Budynek znajdował się na ogrodzonym terenie kopalni. Wejście prowadziło przez portiernię, którą przechodziliśmy bez żadnych przeszkód. Plusem lokalizacji była możliwość korzystania z łaźni, jaka znajdowała się w pobliskiej cehowni.

Dla mnie dodatkowym walorem było to, że wraz z kolegami mogłem się bawić na pobliskim terenie kopalni. Znajdowała się tam bocznicą wąskotorowa z licznymi, zdezelowanymi kolebami i nieczynny, wielki komin. Te koleby służyły wcześniej do transportu węgla w kopalnianych chodnikach. W ogóle urobek węgla wyglądał w ten sposób, że po wywierceniu świdrem otworów w ścianie wydobywczej, założeniu i odstrzeleniu lasek z dynamitu - węgiel kamienny rozbijany był kilofami i ładowany łopatami do takich właśnie koleb. Następnie ręcznie przesuwano je po rozkładanych torach, przy pomocy obrotnicy, na główny tor w chodniku. Po zestawieniu kilku koleb napęcznionych węglem w jeden pociąg, zaprzęgano do niego specjalnie oślepionego konia, który ciągnął wagoniki do szybu windowego. Pełne wędrowały do góry, na powierzchnię, zaś na dół zjeżdżały puste.

Koleby te doskonale nadawały się do zabawy w chowanego. Raz jednakże spadłem z takiej koleby i potwornie rozciąłem sobie stopę. Biegaliśmy bowiem na

bosaka, gdyż buty się oszczędzało. Były one drogie, bo były wykonywane przez szewców na zamówienie. Dopiero w ostatnich latach 30-tych można było nabyć tańsze obuwie produkowane fabrycznie przez czeską firmę „Bata”, której wytwórnię uruchomiono w Chelmku na Śląsku. Od tego czasu zawsze nosiłem już trampki od „Baty”.

Do komina wchodziliśmy od dołu. Był wysoki na kilkadziesiąt metrów i nawet w dzień, przy pogodnym niebie, widoczne były przezeń gwiazdy. W zimie obok tego komina, a przed szybem kopalnianym, robiliśmy sobie lodowisko, na którym jeździłem na łyżwach. Często na jednej, bo drugą pożyczałem koledze. Na tym terenie przebiegała również droga, na której nie było żadnego ruchu. Uczyłem się na niej jazdy na rowerze.

W ogóle rower był moją pasją przez wiele lat. Rodzice kupili wtedy zgrabną damkę dla siostry i mnie. Całymi godzinami jeździłem sam, lub z kolegami, po okolicznych drogach i ścieżkach. Bardzo dbałem o rower i czyściłem go regularnie. Miałem zresztą pod swoją opieką dwa rowery, również rower ojca. Był on bardzo stary i odrapany, gdyż ojciec używał go w czasie służby, goniąc przemysłników. Przerzucał go przez ogrodzenia, jeździł po absolutnych bezdrożach, często porzucał rower w jakimś przypadkowym miejscu. Zabierał zaś po kilku godzinach lub zgoła w następnym dniu. Na takiego wraka nikt oczywiście się nie pokusił i rower zawsze się odnajdywał. Do mnie należało czyszczenie tego wysłużonego grata oraz staranne oliwienie piasty i łożysk kulkowych.

Wielką mą namietnością było też wycinanie z kartonu części okrętów, samolotów, domków, lub innych obiektów i staranne sklejanie w całość. Kartony z wydrukowanymi kolorowymi wycinankami kupowała mi mama. Zawsze ich było za mało.

Bawiłem się także często różnymi wyrafinowanymi zabawkami, jak elektryczne kolejki, sterowane samochodziki Strzelające czołgi itp. Przynosił mi je ojciec do pobawienia się przez kilka dni. Nie mogłem ich uszkodzić i bawiłem się nimi bardzo ostrożnie. Mianowicie zabawki te pochodziły z przemytu, jaki ojciec wyłapywał na granicy. Na odcinku, który podlegał placówce ojca, funkcjonował największy przemyt w skali kraju. Z Niemiec do Polski przemycano w wielkich ilościach owoce cytrusowe, właśnie zabawki mechaniczne, różne przyprawy kuchenne, słodczyce, sacharynę, kamyki do zapalniczek. Gdy zabawki były luzem, to ojciec przynosił mi je na kilka dni do zabawy, potem zabierał i przekazywał, gdzie należało, zgodnie z przepisami i protokołarnie.

Zgoła inaczej miała się sprawa z bananami, mandarynkami, pomarańczami, a także innymi egzotycznymi owocami, jakich ojciec również sporo przynosił do domu. Kupował je na wyprzedaży towarów nietrwałych, dokonywanej po obniżonych cenach w pobliskim urzędzie celnym. Ja zjadałem się bananami i mandarynkami, zaś wręcz brzydziłem się pomarańczami. Siostra akurat odwrotnie. Te nasze smaki pozostały nam do dzisiaj. Oczywiście owa egzotyczna konsumpcja dotyczyła tylko pewnego określonego czasu.

Do szkoły usytuowanej w centralnej części Łagiewnik było z osiedla Hubertus około 600 metrów. Szedłem prosto drogą przez wzniesienie terenowe, mając po jednej i drugiej stronie tylko pola i ogrody. Na tej drodze zimą dobrze się jeździło na sankach, zwłaszcza w kierunku huty. Gorzej w stronę Łagiewnik, bo drogę przecinała linia tramwajowa i dość ruchliwa ulica Mickiewicza. Na zboczu tej drogi lepił się bałwana lub



Siostra z nową damką

robiliśmy orla na śniegu, leżąc na wznak i ubijając śnieg wachlarzowo rękoma.

Przy skrzyżowaniu z ulicą Mickiewicza znajdowała się okazała willa na sporej, zadrzewionej parceli, otoczonej wysokim ogrodzeniem z pionowych prętów metalowych na ceglanej podmurówce. Willę zamieszkiwała rodzina niemieckiego sztygara, ale nikogo nigdy za ogrodzeniem nie widziałem. Natomiast miał się tam prawie zawsze wielki, czarny, kudłaty wilczur. Musiał bardzo nie lubić chłopaków, bo ujadął na nas straszliwie z pianą na pysku. Myśmy zwykle nie zostawiali mu dłużni i rzucaliśmy w niego patykami, kasztanami i grudkami ziemi. I uciekaliśmy, żeby nie było, że to my drażnimy wściekłego psa, podczas gdy to on nas prowokował i napastował bezzasadnie.

W szkole, oprócz wcześniej znanego Dyjusia, miałem jeszcze dwóch serdecznych kolegów. Jeden z nich, Janek Sobol, był synem lekarza internisty. Drugi, Jurek Szalonka, miał ojca restauratora, który posiadał również sporą salę widowiskową, wynajmowaną na różne imprezy. Na tej sali bawiliśmy się często w chowanego, natomiast na scenie urządzaliśmy np. strzelanie z armatek i inne zabawy.

O nas trzech można by chyba tylko powiedzieć, że mieliśmy bogatych rodziców i chyba tylko my nie używaliśmy gwary śląskiej. Najprawdopodobniej ich rodzice również nie byli rdzennymi Ślązakami. Bywałem niekiedy w ich mieszkaniach. Były obszerne, bogato i nowocześnie urządzone. Wyraźnie różniły się od 2-izbowego mieszkania rodziców Dyjusia. To ostatnie jednakże, mimo ubogich mebli i sprzętów, było zawsze czyste i schludne, było też w nim wiele obrazów oraz makatek z wyszywanymi kolorowymi kwiatami i ludowymi sentencjami typu „Kto rano wstaje - temu Pan Bóg daje!” lub tp.

Inaczej niż dzisiaj, w szkołach przedwojennych nauczyciele za przewinienia wymierzali uczniom kary cielesne. Posługiwali się przy tym różnymi przedmiotami. Najczęściej pokrywką od piórnika, linijką, specjalną trzcinką, paskiem albo rzemyskiem. Opiszę historijkę takiego zbiorowego lania.

Na jakiejś przerwie nie wyszliśmy na korytarz, ani na boisko. Prawie wszyscy zostali w klasie, ja również, coś tam czytałem. Większość strasznie wrzeszczała, biła się i czymś rzucała. W pewnym momencie rozległ się łoskot. To gipsowe godło z białym orłem na czerwonym tle, zawieszone nad portretami I. Mościckiego oraz Rydza - Śmigłego, pękło na drobne kawałki i spadło na podłogę.

Nastąpiła śmiertelna cisza, zaś za chwilę pojawił się nasz wychowawca, świetny nauczyciel matematyki i fizyki. Zapytał krótko: kto to zrobił? Lecz odpowiedzi nie było. Wygarnął więc nas wszystkich do rozległej sali fiz.-chem., ustawił wzdłuż katedry demonstracyjnej i zamknął drzwi. Ponowił swe pytanie, ze skutkiem jak poprzednio. Wtedy wyciągnął z szuflady swą wiotką trzcinkę i zaczął obrzęd wielkiego lania, poczynając od lewego końca szeregu. Bił z całej siły, delikwenci skamlali i klękali z bólu, ale nikt nic nie powiedział. Byłem może dziesiąty w szeregu, który kurczył się coraz bardziej. Czuję, że pocę się ze strachu, wyciągnąłem już rękę i zamknąłem oczy, gdy nagle „kat” odsunął mnie niespodziewanie z szeregu i zabrał się do następnego delikwenta.

No tak, byłem w klasie pupilikiem wychowawcy, najlepszym w jego przedmiotach, zawsze grzeczny i ukladny. I dlatego zapewne zostałem wyjątkowo oszczędzony przy zbiorowej egzekucji. Drugi za mną przyznał się do winy, dostał podwójną porcję razów i na tym przegoda z wielkim biciem się zakończyła.

Na przerwach międzylekcyjnych, a przynajmniej na dużej przerwie, przebywaliśmy zwykle na podwórku szkolnym. Ścigaliśmy się wzdłuż ogrodzenia, skakaliśmy do skrzyni z piaskiem lub graliśmy w jakieś zbiorowe gry. Najczęściej w klipę, jaką sami sobie strugaliśmy, albo w guziki przy ścianie szaleatów. Dziewczyny bawiły się w różne skanki, wyznaczane na podwórku lub przy użyciu linek.

Na podwórzu szkolnym odbywaliśmy też w pogodne dni zajęcia gimnastyczne. Były to konkretne ćwiczenia gimnastyczne albo niekiedy gra w palanta, jaka była ulu-

bioną grą naszego wychowawcy. On sam potrafił wybić piłkę prawie na całą długość stumetrowego podwórka.

Do swego rodzaju ćwiczeń gimnastycznych można by zaliczyć także zjeżdżanie po poręczy schodów. Schody były szerokie, zaś poręcz dębowa, bez żadnych zabezpieczeń, które by uniemożliwiały zjeżdżanie po niej.

W 1936 roku znowu zmieniliśmy mieszkanie. Oczywiście na nieco większe, również przy ul. Sienkiewicza. To nowe mieszkanie mieściło się w budynku, będącym własnością kopalni węglowej „Łagiewniki”. Na I piętrze mieszkała rodzina nauczyciela. Na parterze były dwa mieszkania, w których zamieszkiwaliśmy my oraz rodzina policjanta. Mieszkanie nasze miało dwie izby, ale wewnątrz znajdowała się jeszcze mała kuchenka i łazienka.

Parcela ze sporym ogrodem otoczona była wysokim murem ceglanym. W tym ogrodzie często przebywaliśmy. Moi rodzice grali bowiem namiętnie w szachy i tam odbywały się prawie turnieje szachowe, na które przychodzili szachiści z całej miejscowości. Na ogół zwycięzcami byli moi rodzice. Kto z nich dwojga lepiej grał, to trudno było ocenić, bo ojciec, gdy przegrywał, to zrzucał figury z szachownicy.

Mniej więcej od piątej klasy najlepszym byłem ja. Ogrywałem bezwzględnie większość partnerów w Łagiewnikach. Posiłkowałem się teorią, korzystając z czasopism szachowych. Najchętniej posługiwałem się debiutem hetmańskim. Znałem też na pamięć szereg gier z turniejów mistrzowskich, w tym głównie Aljechina, ówczesnego mistrza świata.

W tym czasie do moich obowiązków domowych, prócz dbałości o rower ojca, doszło również sporadyczne czyszczenie karabinu. Był to bardzo solidny, pięciostrzałowy karabin typu „Mauser”. Czyszczenie rozpoczynałem od ewentualnego wyciągnięcia łódki z nabojami, jeśli nie uczynił tego wcześniej ojciec. Wymontowywałem następnie zamek i czyściłem i oliwilem go starannie. Lufę przeciągałem specjalnym wyciorem na długim sznurku. Broń musiała być zawsze w należytym stanie. Nie skłamię, jeśli powiem, że czyszczenie karabinu dokonywałem z przyjemnością, bez żadnego nalegania ze strony ojca.

Od około 10. roku życia corocznie latem rodzice wyprawiali siostrę i mnie do wujków mieszkających we wsi Kuźnica Bobrowska w powiecie ostrzeszowskim w Poznańskim. Polegało to na tym, że wsadzano nas do pociągu, a my sami uważaliśmy już bacznie, aby wysiąść na stacji w Ostrzeszowie. Tam czekała na nas bryczka z którymś z wujków lub starszych kuzynów.

Jeździliśmy najczęściej trzecią klasą. Wagony pierwszej klasy miały wydzielone separatki z wyściełanymi, zwykle pluszowymi, fotelami i firanki w oknach. Druga klasa to też były separatki, lecz ciaśniejsze i z drewnianymi ławkami. Natomiast trzecią stanowiły wagony jednohalowe z dwustronnymi drewnianymi ławkami po obu stronach przejścia. Na wschodnich rubieżach państwa istniała jeszcze czwarta klasa. Stanowiły ją kryte wagony towarowe wyposażone w ławy wokół ścian oraz w uchwyty, zwisające z dachu. Jechało się w nich więc przeważnie na stojąco. Do środka wagonów wchodziło się z otwartych platform, znajdujących się z przodu i z tyłu wagonów.

Nawiasem mówiąc, to kolejnictwo było chyba najlepiej funkcjonującą dziedziną gospodarki w Polsce przedwojennej. Cenione było zwłaszcza za punktualność pociągów, o których mówiło się, że kursują z dokładnością zegarków szwajcarskich.

Lato na wsi miało wiele swych uroków i pozostało mi z tych zielonych wakacji mnóstwo wspomnień i wrażeń. Gospodarstwa czterech wujków, u których przebywaliśmy, były względnie duże. Liczyły po 50-100 mórg poznańskich ziemi ornej. Każdy z wujów

posiadał solidny murowany dom mieszkalny wraz z licznymi budynkami gospodarczymi, zgrupowanymi wokół sporego podwórza. Składały się na nie głównie wolnostojąca stodoła na zboże i obszerny budynek, mieszczący stajnię, oborę, chlewnię, kurniki, warsztat, magazyny itp.

Całość obejścia wraz z niedużym ogródkiem i sadem było ogrodzone drewnianym płotem. Na podwórkach usytuowana była pompa lub studnia z żurawiem, buda dla groźnego psa, uwiązane na długim łańcuchu, natomiast za oborą gnojownik i ustęp z szambem. Za obejściami gospodarczymi znajdowały się wyгородzone wybiegi dla drobiu, świń i największe dla krów. Wybiegi dla świń miały zwykle nieduże, błotniste stawki-bajora, w których z lubością się one tarzały. Zaś wybiegi dla krów i koni to były wielkie łąki-pastwiska.

Każdy z wujów prowadził różnej wielkości hodowlę krów, świń, kur, gęsi, kaczek i posiadał po kilka koni, które stanowiły podstawową siłę roboczą w gospodarstwie. Wszystko to wymagało bardzo wielu zabiegów i pracy. Siostra i ja też staraliśmy się być użyteczni. Pomagałem spędzać krowy z pastwiska, zaganiać świnię do wybiegu, pasłem i karmiłem gęsi i kaczki. Pomagałem też przy ładowaniu snopków żyta na wozy i w układaniu w stogi lub w sásieku, przy omłocie zboża, wyrzucaniu obornika itp.

Należały do mnie też pomniejsze obowiązki, jak odwirowywanie mleka na ręcznej centryfudze, klepanie masła, zbieranie owoców w sadzie, przynoszenie we wiadrze wody ze studni z żurawiem i zamiatanie wiklinową miotłą podłóg, które przedtem posypywało się wilgotnym piaskiem. Karmiłem również psa i koty. Oczywiście pies był uwiązany na łańcuchu i pilnował obejścia, zaś koty nocą łowiły myszy w stodole, a we dnie wygrzewały się w ogródku.

Wiele bawiłem się ze swymi rówieśnikami w budowę tam na pobliskim strumyku, strzelanie z łuku, łapanie motyli, wspinanie po słomianym dachu stodoły do gniazda bocianiego itp.

Chodziłem, jak wszyscy, na bosaka i pamiętam, że miałem z początku kłopoty z poruszaniem się po świeżo ściętym rżysku. Trzeba się było tego nauczyć, podglądając starszych krewniaków. Mianowicie należało tak chodzić, aby przyginać rżysko w kierunku jego nachylenia, stawiając posuwiste kroki. Chodząc „pod włos” można było łatwo pokaleczyć sobie stopy, zwłaszcza gdy skóra na nich nie była odpowiednio zahartowana.

Jeździłem też sporo na „dorosłym” rowerze po okolicznych drogach. Przy tym nie jeździło się samymi drogami, które były piaszczyste i rozjeżdżone koleinami, lecz pobocznymi, wąskimi ścieżkami dla pieszych. Była to nie lada sztuka, ale rowery na wsiach poznańskich były bardzo rozpowszechnione i służyły na przejazdy do szkoły, sklepów, a nawet do kościoła.

Wieczorami wszyscy domownicy, w jednej największej izbie, graliśmy w domino, a częściej w karty, zwykle w tysiąca lub kierki. Ja czasami czytałem książki, ciocia zawsze coś wyszywała. Oczywiście wszystko przy świetle naftowej lampy, bo oświetlenie elektryczne na wsiach wówczas było nieznanne.

Niekiedy były dalsze wycieczki do boru na grzyby lub poziomki albo nad rzekę Prośnę. Często po kilka dni mieszkalem u innych wujków w sąsiednich Bobrownikach. Jednak najbardziej lubiłem przebywać u cioci Stasi, która była dla mnie szczególnie serdeczna i opiekuńcza, dbała o moją odzież i przygotowywała różne smakołyki. Często pomagałem jej w przeróżnych pracach domowych i w gospodarstwie. Bardzo lubiłem też towarzyszyć jej córkom, a mym starszym kuzynkom Celce lub Władzi, przy robieniu masła, bo wtedy w rytm pracy mówiły wiersze Mickiewicza lub Słowackiego, których obie wiele znały na pamięć.

To klepanie masła w dużych drewnianych donicach odbywało się w piwnicy, czyli

ziemiance, zbudowanej w ogrodzie. Służyła ona za magazyn-chłodnię do przechowywania produktów spożywczych. Rzeczywiście było tam zawsze znacznie chłodniej niż na otwartej przestrzeni.

Wszyscy na tych poznańskich wsiach byli bardzo pracowici. Każdy miał swe obowiązki od najmłodszych lat do późnej starości. Mój dziadek, na przykład, obsługiwał jeszcze kuźnię, gdy miał 90 lat. Pomagałem mu poruszać miechy i obserwowałem jak wyrabia podkowy i inne przedmioty z rozpalonego do białości żelaza. Poza tym każde gospodarstwo specjalizowało się dodatkowo w jakiejś jednej dziedzinie. W przypadku moich czterech wujków było to pszczelarstwo, hodowla gęsi, mała stadnina koni, sadownictwo, kuźnia i usługi weterynaryjne.

Powrót z wakacji wyglądał podobnie jak przyjazd, tylko w odwrotnym kierunku. Bryką zawożono mnie i siostrę na dworzec kolejowy w Ostrzeszowie, natomiast w Chorzowie czekali na nas mama lub tato.

Kilka razy byliśmy całą rodziną w Kuźnicy Bobrowskiej, przez kilka dni, z okazji różnych uroczystości rodzinnych. W tym w listopadzie 1934 roku, z okazji diamentowych godów seniorów rodu, czyli 60-lecia ślubu mych dziadka i babci. Faktycznie odbył się wówczas pierwszy zjazd rodu, w którym wzięły udział wszystkie ich sześcioro dzieci, ze swymi rodzinami, łącznie 37 osób.



1932 r. Ojciec przy orderach, obok mama, siostra i ja z dziadkami.

Piekarach Śląskich. W tym dniu odbywały się tam wielkie uroczystości, związane z obchodami rocznicy 250-lecia przemarszu wojsk Jana III Sobieskiego w drodze na odsiecz Wiednia. Natomiast sami rodzice raz wyjechali na kilka dni do Krakowa w celu wzięcia udziału w sypaniu Kopca Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Dzięki staraniom szkoły byłem w 1937 roku, wraz z całą klasą, na wycieczce w Krakowie i Wieliczce. Pamiętam przejazd łódką po jezioru w głębinach kopalni soli. Również staraniem szkoły dwa razy moja klasa była w lasach mikołowskich na biwaku harcerskim. Bawiliśmy się w Indian i w różne gry sprawnościowe.

Zestawienie tych moich wakacji i wyjazdów w okresie do ukończenia szkoły podstawowej, z podobnymi wyjazdami moich synów, jest prawie nieporównywalne. Oprócz wielokrotnych wyjazdów do dziadków, byli z nami kilkanaście razy na różnych wczasach krajowych i zagranicznych, na obozach harcerskich w Bieszczadach i we Francji, oraz

Nigdy nie byliśmy z rodzicami na żadnych wczasach w miejscowościach letniskowych w okresie wakacji. Zresztą instytucja wczasów, w dzisiejszym rozumieniu, była wówczas w ogóle nie znana. Z wyjazdów urlopowych do wód, czy kurortów, jak się wtedy mówiło, korzystała bardzo nieznaczna część społeczeństwa o bardzo wysokim statusie zamożności.

Byliśmy jedynie raz na wycieczce-pielgrzymce tramwajem tranzytowym przez niemiecki Bytom w

wiele razy na autokarowych wycieczkach, organizowanych przez szkołę.

W rodzinie wyraźnie ja byłem maminsynkiem, zaś siostra przysłówiowym „oczkiem” w głowie ojca. Często towarzyszyłem mamie w zakupach, również tych dalszych, do domów towarowych „TIC” i „Wholesale” w Chorzowie. Wtedy mama nie raz fundowała mi gorące kielbaski z musztardą w barze na estakadzie kolejowej obok huty Batory. Faktycznie to prawie stutysięczny Chorzów nazywano wówczas jeszcze z przyzwyczajenia Królewską Hutą, gdyż zmiana nazwy miasta miała miejsce całkiem niedawno w 1934 roku.

Zaś w domu pomagałem w różnych pracach porządkowych i przy kuchni. Ale przede wszystkim uczyłem się. Miałem ku temu dobre warunki: potrzebne książki, przybory, swój stół w mieszkaniu i zapewniony spokój. Rodzice w zasadzie nigdy nie interesowali i nie wypytывali się o moją edukację. Nigdy też nie musieli zaganiać mnie do nauki, bo zawsze pilnie odrabiałem zadane lekcje. Raczej mama, zaś zwłaszcza ojciec, wyganiali mnie na podwórko do kolegów, gdyż, ich zdaniem, zanadto przesadywałem w domu. Inaczej moja siostra, która była znacznie ruchliwsza ode mnie, miała zawsze chmarę koleżanek i kolegów i ciągle gdzieś wychodziła.

Ja sporo wtedy czytałem. Do 13. roku życia przeczytałem prawie wszystkie dostępne w bibliotece książki Karola Maya o Indianach, o Tarzanie i w ogóle książki dla młodzieży. Czytałem też pisma dla dzieci z komiksowymi historyjkami „Świat Przygód”, a później także „Karuzelę” i „Światowid”.

Chodziłem często do jednego w Łagiewnikach kina na filmy przygodowe, zwłaszcza kowbojskie. Niektóre filmy pamiętałem bardzo długo, zaś film „King Kong” do dzisiaj; zapewne byłem na nim kilka razy. Oglądałem też liczne, grane wówczas filmy komediowe z Flipem i Flapem, z Patem i Patachonem, czy Charles Chaplinem. Natomiast moja siostra i w ogóle dziewczyny i kobiety pasjonowały się słodziutkimi filmami z małą, rezolutną Shirley Temple oraz szalonymi romansami z Rudolfem Valentino i Marleną Dietrich. Na niektóre filmy, np. z Janem Kiepurą i Martą Egerth, chodziliśmy do kina razem z rodzicami.

Uczęszczałem do kina najczęściej sam lub z kolegami. Nie miałem problemów z przyzwoleniem rodziców, mama zawsze dawała mi tych kilkadziesiąt groszy, ile kosztowało miejsce w pierwszych rzędach. Gdy wracałem późnym wieczorem, to zastawałem uchylone okno, przez które cichutko dostawałem się do mieszkania.

Na salę kinową wchodziło się w dowolnym momencie, również w czasie trwania projekcji. Tak, że w czasie seansu na widowni panował prawie ciągły ruch, zaś obsługa sali wskazywała miejsca latarkami elektrycznymi. Nikomu to nie przeszkadzało, bo ludzie oglądali filmy bardzo emocjonalnie. Często na sali wybuchały salwy śmiechu, okrzyki zgrozy lub płacz.

W drugiej połowie lat trzydziestych większość nowych filmów była już udźwiękowiona, ale sporo wyświetlano jeszcze filmów niemych. Miały one zwykle akompaniament muzyczny. Pianista, grający na fortepianie z boku ekranu, starał się grać w rytm i stosownie do nastroju filmu. Same filmy nieme miały często wstawki tekstowe z objaśnieniami lub tytułami kolejnych fragmentów filmu.

W roku 1939 widziałem pierwszy, króciutki film kolorowy, bodajże o Hawajach. Był pokazany jako dodatek i robił wielkie wrażenie. Ale na pełnometrażowe filmy kolorowe trzeba było poczekać jeszcze kilkanaście lat.

Na ulicach i podwórkach Łagiewnik często pojawiali się różnego rodzaju domokrażni rzemieślnicy, oferujący swe „obnośne” czy „obwożne” usługi. Żeby zasygnalizować swoje przybycie wykrzykiwali: „garnki lutować!”, „noże, nożyczki ostrze!”, „szklenie okien!”, „szmaty skupuję!” lub tp. Powszechnie praktykowane było również roznoszenie przez wieśniaczki w bańkach na plecach, mleka „prosto od krowy” dla swoich stałych

odbiorców.

Zaś w miejscach publicznych, na placu targowym, przed kościołem, uwijali się zwykle gazeciarze, sprzedający świeże wydania prasy i wykrzykujące przy tym co pikantniejsze tytuły gazetowych artykułów. Wszystko to funkcjonowało oczywiście w miastach również w czasie wojny i jeszcze kilka lat po jej zakończeniu.

W okolicy różnych świąt tudzież dni targowych, pojawiała się w Łagiewnikach podwórkowa kapela, złożona z kilku grajków grających i śpiewających gwarowe, śląskie piosenki. Zaś znacznie rzadziej stary, ślepy kataryniarz, chyba ze swym wnukiem. Starzyk kręcił korbką swej grającej skrzynki, natomiast chłopiec podchodził do gapiów i zbierał pieniądze.

Mniej więcej w okresie, gdy chodziłem do piątej klasy, stałem się bardzo religijny. Przejawiało się to w codziennym chodzeniu do pobliskiego kościoła na popołudniowe nabożeństwa. Znałem na pamięć po łacinie całą liturgię mszy oraz „Pater Noster”, a także wiele popularnych pieśni religijnych. Sam lubiłem śpiewać w kościele, choć nie miałem dobrego głosu.

Była to moja własna inicjatywa, nie inspirowana przez nikogo. Moi rodzice nigdy nie przejawiali większego zaangażowania religijnego. Nawet nie mieliśmy w mieszkaniu obrazów religijnych. Jedynie ojciec dbał o wspólne, demonstracyjne wyjście na niedzielne msze. Mam takie zdjęcie: ojciec w paradnym mundurze przy orderach, spodnie z lampasami, białe rękawiczki w dłoni, mama w modnym kapelusiku z piórkiem i my, grzeczne dzieci, po obu stronach.

Mama była zawsze pluralistyczna, tolerancyjna i wyrozumiała we wszystkich sprawach etyki i moralności oraz krytyczna do dogmatów religii i kleru. Czytała sporo książek i czasopism kobiecych, które zawsze prenumerowała. Miała realne, zdroworozsądkowe spojrzenie na świat i ceniona była za swe rady i uwagi przez sąsiadów, znajomych, krewnych, w komitecie szkolnym.

Pewnego popołudnia, gdy szedłem właśnie do kościoła, usłyszałem za sobą na ulicy jakieś krzyki i tumult. Odwróciłem się i zobaczyłem po przeciwnej stronie ulicy biegnącego, starego Żyda z długimi pejsami i w czarnej jarmulce, zasłaniającego głowę obu rękoma. Za nim środkiem ulicy biegło kilku wyrostków, którzy rzucali w niego kamieniami, wykrzykując jakieś obelgi i przezwiska, a także popularne, szowinistyczne hasło tamtych lat „Żydzi na Madagaskar!”. Scena ta poruszyła mnie do głębi i utknęła w pamięci na zawsze.

Od tego momentu zacząłem się interesować problemem antysemityzmu, jaki wtedy ogarnął Polskę. Czytałem gazety, rozmawiałem o tym z mamą. Na Śląsku praktycznie Żydów nie było. Nie miałem w szkole żadnego kolegi pochodzenia żydowskiego i znałem tylko jednego Żyda, który prowadził mały sklepik spożywczy na naszej ulicy. Więcej ich było w Chorzowie, gdzie należała do nich znaczna część sklepów, zwłaszcza domy towarowe.

Właśnie na Śląsku ogłoszony został przez prawicowo-nacjonalistyczne organizacje bojkot handlu żydowskiego. Na naszej ulicy polegało to na tym, że ludzie przestali kupować w sklepiu żydowskim, obawiając się szykan i przezwisk typu „bolszewik”, „żydokomuna” itp. Wzrosły natomiast obroty w drugim na naszej ulicy sklepiu, należącym do Niemca. Moja mama zdecydowała się jednak nadal zaopatrywać w tym sklepie żydowskim. Z tym, że zakupy należały teraz wyłącznie do mnie. Chodziłem o zmroku z karteczką, na której były wypisane zamawiane towary.

Sklepik był mały, wąski, z jedną szybą wystawową (w czasie bojkotu wybitą), ale wszystko w nim można było kupić. O takich sklepikach mówiło się pogładowo, że jest tam „szwarc-mydło-powidło”. Największe obroty dotyczyły cukru, mąki, kasz różnego

rodzaju, mydła, soli i innych przypraw, nafty, zapalek, octu oraz tytoniu. Sympakie towary były w przeróżnych szufladach, pakowało się je do papierowych tytek. Ogórki kiszone, kapusta i solone śledzie były w beczkach; marmolada, cukierki w słoikach; masło w osekłach; nafta w bańkach; ocet, oliwa we flaszłach.

Nie płaciłem za otrzymane towary, jedynie właściciel sklepu odnotowywał ich wartość w odpowiednim zeszycie. Należność za cały miesiąc regulowała mama po otrzymaniu pensji. Niezależnie od tego kredytowania, za całomiesięczne zakupy mama dostawała jeszcze spory rabat. I to było też jedną z przyczyn, obok solidności i absolutnej uczciwości właściciela sklepu, że, mimo bojkotu, zaopatrywaliśmy się w tym sklepiu.

Antysemityzm, krzewiący się wówczas w Polsce, obejmował cały kraj, a przejawiał się w różnych formach, zależnie od środowiska i regionu. Był on pochodną sytuacji w Niemczech hitlerowskich, którym oficjalne władze polskie starały się jak najbardziej przypodobać.

Między innymi przejęto od nich aspiracje kolonialne. Wyrażało się to w żądaniu przyznania Polsce kolonii zamorskich, w szczególności Madagaskaru. Na prawo akurat do tej wyspy, większej od Polski, powoływano się dlatego, że w 1774 roku opanował ją polski kondotier Maurycy Beniowski, dowodzący francuskim korpusem. Dziesięć lat później, walcząc już o niepodległość Madagaskaru, Beniowski został obrany królem wszystkich plemion malgaskich. Tę legendę krzewiła w społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodzieży, masowa i zasłużona dla gospodarki morskiej Liga Morska i Kolonialna. Ja także byłem jej członkiem.

W ogóle naśladownictwo faszyzmu niemieckiego i przyjaźń z Niemcami były głoszone powszechnie. Za znaczący przykład, jakby symbol tej przyjaźni, przedstawiany był przez radio i prasę ślub uwielbianego przez polskie społeczeństwo „chłopca z Sosnowca”, światowej sławy tenora operowego, Jana Kiepury z piękną niemiecką śpiewaczką sopranową Martą Egerth. Po ślubie zamieszkali oni do 1939 r. w Berlinie, gdzie nakręcono z ich udziałem kilka „śpiewających” filmów, cieszących się potem wielką popularnością w całym świecie.

Przyjaźń Polski i Niemiec wyrażała się również we wzajemnych wizytach oraz hucznych polowaniach prominentnych dygnitarzy obu krajów, w poparciu inwazji Włoch na Abisynię i puczu frankistowskiego w Hiszpanii, a także we wzmożonym szykanowaniu i zwalczaniu wszelkich lewicowych ruchów i organizacji w kraju.

Między innymi istniał w tamtym czasie ostry konflikt między władzami i bardzo lewicowym Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Różne strajki, petycje, spory na tym tle, zdarzały się i w naszej szkole. Raz, wraz z kilku uczniami z innych klas, udaliśmy się do przyszłolnego mieszkania naszej nauczycielki od przyrody, która leżała chora w łóżku, a niedawno została zwolniona z pracy z przyczyn politycznych. Wręczyliśmy jej kwiaty oraz pieniądze, zebrane przez szkolny komitet rodzicielski. Bardzo się wtedy wzruszyła i popłakała.

W połowie 1937 r. po raz trzeci zmieniliśmy mieszkanie. Tym razem zamieszkaliśmy z powrotem w osiedlu Hubertus, w bloku urzędniczym, w sąsiedztwie placówki granicznej, kierowanej przez ojca.

Mieszkanie obejmowało 3 pokoje w amfiladzie, przy czym pierwszy był kuchnią z dużym piecem kaflowym i zlewem. Ubikacja była wspólna z sąsiadami, zlokalizowana na podeście klatki schodowej. Rodzice zakupili do mieszkania nowe gustowne meble, dywany, firany itp. Najwidoczniej miało to być mieszkanie na wiele lat. Mieliśmy też swój spory ogródek, który rodzice starannie zagospodarowali.

Do szkoły chodziłem tą samą drogą, co podczas poprzedniego zamieszkiwania na terenie kopalni i Huty Zygmunt. W najwyższym punkcie tej drogi roztaczał się rozległy

widok na okoliczne osady i miejscowości. W szczególności widoczne były dziesiątki kominów, głównie kopalń węglowych Łagiewnik, Lipin, Chropaczowa, Świętochłowic, Siemianowic, Rudy Śląskiej, Chorzowa, a także całego Bytomia.

Idąc tą drogą do szkoły pewnego jesiennego dnia 1937 roku coś zdumiało mnie w krajobrazie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że z żadnego komina po polskiej stronie nie wydobywa się dym. Nie rozumiejąc przyczyny, tego tak niezwykłego zjawiska, poczułem wyraźny niepokój oraz strach i jakby przeczucie czegoś bardzo niedobrego. Rozglądałem się długo dokoła i liczyłem te nieszczęsne, „bezrobotne” kominy.

Dopiero znacznie później, po latach, poznałem przyczyny tego, wielomiesięcznego zresztą, przestoju śląskich kopalń węgla kamiennego. Otóż należały one wszystkie do niemieckich koncernów, w których posiadaniu były również kopalnie na Śląsku niemieckim oraz w zagłębiu Saary i Westfalii na zachodzie Niemiec. Gdy w 1937 roku na rynkach europejskich spadło znacznie zapotrzebowanie na węgiel, koncerny te zmuszone były do obniżenia swej produkcji. Oczywiście zrobiły to kosztem swoich kopalń w Polsce, utrzymując w pełni produkcję w kopalniach niemieckich. Sytuacja ta wyraźnie obrażowała polską mizериę gospodarczą oraz zależność od kapitału zagranicznego.

W II Rzeczypospolitej nie wybudowano na Górnym Śląsku ani jednej nowej kopalni, ani nawet szybu wydobywczego. Nie uczyniono też prawie nic w zakresie mechanizacji robót górniczych. Nic więc dziwnego, że produkcja węgla kamiennego w Polsce w 1938 r., wynosząca 38 milionów ton, była niższa od wydobycia w istniejących kopalniach w 1913 r., tj. przed I wojną światową.

Ojciec, jak zawsze, był zapracowany, prawie nie było go w domu. Otrzymywał wysokie premie za wychwytywanie wciąż wzrastającego przemytu granicznego. W tym okresie rodzice najwidoczniej zaczęli myśleć o zainwestowaniu swych dochodów i oszczędności ulokowanych na kontach bankowych. W żadnym wypadku nie dotyczyło to jednakże zwiększenia wydatków na bieżące utrzymanie i konsumpcję. Smalec, marmolada, tańsze gatunki wędlin, kasze, warzywa z własnego ogródka to było podstawowe menu w naszym jadłospisie. Zaś odzież, ubranka i sukienki dla mnie i siostry szyla sama mama na swej maszynie „Singer”. Oczywiście skarpety, zrobione na drutach, podlegały ciąglemu cerowaniu, zaś ubranka starannemu łataniu.

Poczynione przez rodziców inwestycje do września 1939 r. dotyczyły zakupu jednorodzinnego domku mieszkalnego i kilku mórg gruntu ornego i lasu w Monasterzyskach w województwie tarnopolskim oraz 3-rodzinnego domu mieszkalnego ze sporą działką w Kępnie w woj. poznańskim. Jakże to się potem przydało na burzliwy czas wojny i po wojnie. A właściwie, to ta majątność na kresach zdecydowała chyba w ogóle o przeżyciu przez naszą rodzinę okresu wojny.

Jesień 1938 r. minęła na Śląsku, i chyba w całej Polsce, pod znakiem aneksji Zaolzia. Po wchłonięciu czeskich Sudetów przez III Rzeszę w wyniku jej ugody w Monachium z Anglią, Francją i Włochami - Polska przyłączyła się do wrogiej polityki Niemiec w stosunku do Czechosłowacji. W dniu 2 października wojsko polskie wkroczyło zbrojnie na tereny czeskiego Śląska Zaolziańskiego, zamieszkiwanego w większość przez Polaków.

Pamiętam, jak ojciec złorzeczył, że taka polityka wyjdzie kiedyś Polsce bokiem. Ale oczywiście taką opinię głosił skrycie, jedynie wobec mamy. Oficjalnie funkcjonowała niebywała euforia patriotyzmu i propagandy antyczeskiej. Obejmowała także dzieci i młodzież szkolną. Braliśmy udział w różnych capstrzykach i uroczystościach z tej okazji, pokrzykując „Bić Pepików!” itp. Przypominało mi to sytuację z wiosny tegoż roku, gdy na wiecach wykrzykiwaliśmy „Wodzu, prowadź na Kowno!”, wspierając ultimatum polskiego rządu w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych z Litwą.

Wziąłem też udział 11 listopada 1938 r. w uroczystości związanej z dwudziątą rocznicą odzyskania niepodległości przez Polskę. Odbyła się ona w piękny wieczór na dużej hałdzie, bezpośrednio przy granicy, na wprost niemieckiego Bytomia. Głównym akcentem wiecu, obok przemówień dygnitarzy, było zapalenie wielkiego stosu, złożonego ze smołowanych bali. Odśpiewano też oba hymny „Jeszcze Polska nie zginęła!” i „Pierwsza Brygada!”. Tu nadmienię, że na Śląsku ten drugi hymn śpiewało się nieco inaczej, niż w reszcie kraju. Zamiast „My, Pierwsza Brygada, strzelecka gromada ...” śpiewało się „My, Pierwsza Brygada Komendanta dziada ...”. Otóż słowo „dziad” miało wśród Ślązaków bardzo pejoratywne znaczenie. Gdy się sprzeczano i wyzywano, to właśnie najczęściej używano przezwiska „Ty dziadu!”, a lepiej „Ty sakramencki dziadu!”.

Ta zmiana tekstu piosenki wynikała z wielkiej niechęci, wręcz nienawiści Ślązaków do Piłsudskiego. Brało się to z okresu powstań śląskich, których Piłsudski jakby nie zauważał, a także z dominacji i opanowania wszelkich stanowisk i urzędów na Śląsku przez „goroli”, to jest ludzi z byłej Kongresówki oraz z Galicji. Podobnie Ślązacy dyskryminowani byli w sferze średniego i wyższego szkolnictwa. Na przykład w gimnazjum w Chorzowie, do którego w 1938 roku uczęszczała moja siostra, przeważały w klasie uczennice rekrutujące się z rodzin napływowych Polaków. Te nierówności usunięte zostały dopiero po wojnie w Polsce Ludowej.

Owe ogniska nad granicą doskonale można było zinterpretować jako manifestowanie wobec Niemiec zawartości i siły Polski, jak też woli wzajemnej współpracy i przyjaźni między obu państwami. Niemcy nie byli nam długo dłużni. Przy jakiejś okazji urządzili w Bytomiu przy granicy wspaniały pokaz ogni sztucznych. Faktycznie tylko raz jeszcze widziałem tak bogate ognie sztuczne podczas Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu w 1948 r.

W ogóle w 1938 r. i pierwszej połowie 1939 r. brałem udział w wielu wiecach i capstrzykach z okazji różnych uroczystości państwowych. Na te wiece młodzież szkolna maszerowała zwykle zbiorowo szwadrkami, robiąc tłum i wznosząc ochoczo państwowotwórcze okrzyki. Dziwiłem się bardzo, że dorośli uczestnicy wieców nie przejawiali nadmiernego entuzjazmu i nie ekscytowały ich wznoszone hasła.

Charakter tych wieców, treści transparentów i śpiewane piosenki, zmieniły się radykalnie w marcu 1939 r., po zajęciu przez III Rzeszę całej Czechosłowacji. Rozsypał się też wtedy cały worek dalszych zdarzeń politycznych, groźnych dla Rzeczypospolitej. Niemcy zajęły część Litwy z jej największym portem Kłajpedą, obsadziły swymi wojskami nowoutworzoną Słowację i zawarły układ z Rumunią, podporządkowując sobie jej gospodarkę. W ten sposób otoczyły swym militarnym kordonem nasz kraj z trzech stron. Zaraz potem Hitler zażądał od Polski zgody na włączenie Gdańska do Niemiec i wydzielenia na Pomorzu eksterytorialnego „korytarza”, to jest pasa terenu na budowę linii kolejowej i autostrady, które miały połączyć Rzeszę z Prusami Wschodnimi.

Od tego momentu stosunki Polski z nazistowskimi Niemcami znacznie się pogorszyły, zwłaszcza po serii ostrych, antypolskich demonstracji w Gdańsku. Wtedy jeszcze raz zebraliśmy się przed szkolnymi głoścnikami radiowymi, by wysłuchać w patriotycznym uniesieniu, że „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da!” i że „nie oddamy Niemcom nawet guzika!”.

Wówczas to, wzdłuż granicy po naszej stronie, rozpoczęła się szybka, intensywna budowa linii fortyfikacyjnej. Jeden z fortów był widoczny z okna naszego mieszkania, drugi mijałem codziennie w drodze do szkoły. Zaangażowane w budowę były wielkie rzesze robotników, zwerbowanych w Polsce centralnej i liczne podwozy konne, również spoza Śląska. Stanowiska budowy były zamaskowane, transport materiałów odbywał się nocami. Niekiedy nocą podglądałem lornetką roboty w tym najbliższym forcie. Między innymi widziałem montaż ciężkiego działła, dowieszonego przez zaprzęg 6 koni.

Oprócz fortów na linii obronne składały się rozległe rowy strzeleckie, zasieki z drutu kolczastego oraz zapory drogowe i przeciwczołgowe.

Nie wiem, czy do dnia wybuchu wojny całość tych solidnych fortyfikacji została zakończona. Wiem jednakże, że nie zostały one w najmniejszym stopniu wykorzystane. Z dział fortecznych nie oddano ani jednego strzału, ponoć dowieziono niewłaściwą amunicję. Okopy nie zostały obsadzone, potem zdobyły je przez zaskoczenie małe dywersyjne oddziały niemieckie już w pierwszych dwóch dniach wojny.

W tym okresie miały miejsce masowe ucieczki Polaków przez granicę do Niemiec. Związane to było z agitacją prowadzoną przez specjalne ośrodki niemieckie, które obiecywały zbiegłym z Polski młodym mężczyznom natychmiastowe zatrudnienie i wysokie zarobki. W Polsce cały czas panoszyło się wówczas wielkie bezrobocie i było w związku z tym wielu amatorów na zatrudnienie się w Niemczech.

Ucieczki odbywały się pod osłoną nocy, pojedynczo lub grupami, czasem przy pomocy specjalnych przewodników. Chodziło o to, aby obejść pilnujących granicy strażników. Samo przekroczenie granicy państwowej na naszym odcinku Łagiewnik i Bytomia nie przedstawiało większego problemu. Była nią nieduża rzeczka Bytomka, nawiasem mówiąc przypominająca bardziej ściek, niż normalną rzekę.

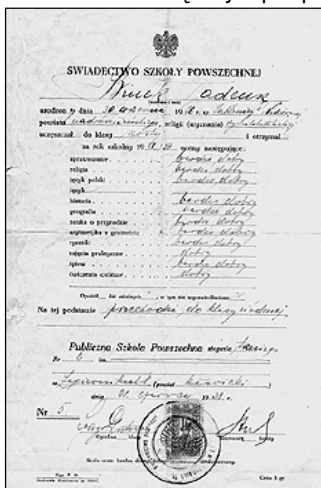
Sam widziałem kilka razy grupki młodych mężczyzn, snujących się koło hałd, blisko granicy. Mówiłem o tym ojcu, a on śmiał się, że łapie takich uciekinierów tuzinami, odstawia do Katowic, zaś tam najwyczejniej ich natychmiast zwalniali. Oczywiście próbowali oni ponownie za dzień-dwa przedostać się przez granicę do obieganego „Eldorado”.

W ostatnim miesiącu roku szkolnego odbyła się w Katowicach olimpiada, sprawdzian testowy dla kandydatów do śląskich szkół średnich. Wziąłem w niej udział. Sprawdzian polegał na tym, że każdy uczestnik otrzymał kilkustronicowy tekst z różnymi zadaniami, które w określonym czasie, bodaj 1,5 godziny, należało rozwiązać. Były tam jakieś szeregi cyfr i znaków do uzupełnienia, zadania matematyczne do rozwiązania, pytania z kilkoma odpowiedziami, z których należało wybrać właściwe, oraz różne zadania tekstowe. Siedzieliśmy na dużej sali, każdy z nas miał oddzielny mały stolik. Nie można więc było podpatrywać odpowiedzi u kolegów.

Zadania te nie sprawiły mi większych trudności i rozwiązałem je przed czasem. Oddałem pierwszy testy przy stoliku komisji i wyszedłem z sali. Z trudem przepychałem się przez tłumek rodziców i starszego rodzeństwa olimpijczyków, wypytujących mnie jakie były tematy zadań. Mnie ojciec towarzyszył jedynie przy przyjeździe na olimpiadę, zaś sam wracałem tramwajem do Łagiewnik.

W dniu 21 czerwca otrzymałem świadectwo ukończenia szóstej klasy szkoły podstawowej, ostatecznie jakiś znaczący kawałek życia. Tylko dwa stopnie dobre z zajęć praktycznych i cielesnych (gimnastyka), reszta bardzo dobre. Dopiero po kilku dniach mama powiedziała mi, że uzyskałem w olimpiadzie najwyższą punktację. Miało to prawdopodobnie jakiś wpływ na zwolnienie mnie z licznych przedmiotów przy egzaminie wstępnym do gimnazjum w Chorzowie, jaki zdawałem w ostatnich dniach czerwca. Również i ten egzamin zdałem raczej bez większego trudu. A więc mogłem się czuć gimnazjalistą. Chyba nieźle zasłużyłem na dobre wakacje.

Wakacje 1939 r. były bardzo piękne. Jak zwykle, przebywałem wraz z moją siostrą



u cioci Stasi na wsi w Kuźnicy Bobrowskiej. Utkwiła mi w pamięci z tych ferii bardzo gwałtowna burza z piorunami, którą potem w dramatyczny sposób opisałem w jakimś wypracowaniu szkolnym. Widziałem też autentyczne tornado. Trąba powietrzna sięgała do chmur, porywając do góry kolejne stogi siana i wędrując po nieodległych polach.

Zginął mój ulubiony kotek Mruczuś, podcięty kosą podczas żniw. Przybył na krótki urlop kuzyn Franek w stopniu porucznika. Uczyłem się tańczyć w ogródku przy dźwiękach patefonu, jaki po raz pierwszy w życiu widziałem i jaki bardzo chętnie obsługiwałem i kręciłem korbką, gdy starsi ode mnie tańczyli i bawili się wesoło. Brylowała zwłaszcza moja siostra oraz porucznik Franek.

Brałem udział w ćwiczeniach, związanych z użyciem masek przeciwgazowych, jakie odbywały się na placu przed kościołem dla miejscowej ludności i młodzieży. Wysłuchałem również instrukcji, jak paskami papieru zaklejać szyby w oknach, aby uchronić je przed skutkami eksplozji. Na placu prowadzona też była zbiórka pieniędzy na zakup karabinu maszynowego dla wojska. Zaś z rozmów mych krewnych i znajomych wyczuwało się już wyraźną groźbę nadciągającej wojny.



Z wiejskich wakacji wróciliśmy wcześniej niż w poprzednich latach. Wszędzie w Łagiewnikach były porozwieszane plakaty z napisami „Do broni!”, „Silni, zwarci, gotowi!” z marszałkiem Rydzem-Śmigłym na tle eskadr samolotów itp. Natomiast radio i gazety apelowały do społeczeństwa o udział w Pożyczce Obrony Przeciwlotniczej, jaką rząd polski rozpiisał w marcu, celem uzyskania środków pieniężnych na produkcję samolotów i dział przeciwlotniczych. Wykup obligacji pożyczki przyniósł faktycznie bogaty plon w postaci kilkuset milionów złotych. Moi rodzice także wpłacili jakąś sporą kwotę, otrzymując w zamian duże, ładne blankiety, podobne do banknotów, jakie potem przez dziesiątki lat przechowywali na pamiątkę.

Matka powróciła właśnie z województwa tarnopolskiego, gdzie finansowała ostatnie zakupy majątkowe. Ojciec nie mógł jej towarzyszyć, gdyż w Straży Granicznej tego pięknego lata trwało pogotowie wojskowe i nie udzielano urlopów funkcjonariuszom. Był podniecony i zabiegany w pracy jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek.

Pracując w Straży Granicznej oraz w Wywiadzie Wojskowym znał doskonale sytuację i przygotowania wojenne, czynione na Śląsku niemieckim. Mówił o koncentracji wojsk pancernych w lasach, o szerokim szkoleniu Ślązaków niemieckich do działań dywersyjnych, o przenikaniu przez granicę tychże dywersantów, wyposażonych w broń i środki łączności. Szczegółowe meldunki słał do centrali w Katowicach, ale spotykały go za to tylko różne reprimendy i połażania za defetyzm. Oficjalne władze, rządzący, faktycznie chyba nie dopuszczali myśli o możliwym, bliskim konflikcie z Niemcami.

Mimo ciągłego wzrostu napięcia w Gdańsku i prowadzenia coraz ostrzejszej kampanii przeciwpolskiej w Niemczech - strona polska starała się tuszować konflikty i znosiła cierpliwie różne antypolskie prowokacje. Rząd Polski bowiem uparcie starał się realizować politykę „zbliżenia z Niemcami”, zainaugurowaną przez Piłsudskiego w 1934 r. dwustronnym paktem o nieagresji. Swą wolę kompromisu oraz utrzymania przyjaźni z hitlerowską Rzeszą akcentowano zwłaszcza wzmoczoną propagandą antyradziecką. Pod wielkimi tytułami typu „Kolos na glinianych nogach!” gazety opisywały słabość i rozkład armii i gospodarki Rosji. Artykułom tym towarzyszyły różnego rodzaju karykatury, z których najczęstszą był rysunek białego niedźwiedzia, oblepionego plastrami i

Siostra tańczy z kuzynem

wspierającego się na szczudłach.

Ja sam kupiłem sobie spory obrazek z rysunkiem świni, na którym, gdy patrzyło się nań nieco z boku, to pokazywał się portret Stalina. Oczywiście żadnych tego typu karykatur Hitlera wtedy nie było. Wręcz przeciwnie, dość szeroko okazywany był podziw i chwalono niemieckie państwo w ogóle, a ustrój faszystowski w szczególności. Na przykład w podręczniku mej siostry do nauki języka niemieckiego dla II klasy gimnazjalnej były entuzjastyczne czytanki o dokonaniach w Niemczech. Okraszone były zdjęciami Hitlera, paradnych marszy Wehrmachtu, budowy nowoczesnych autostrad itp. Natomiast o Związku Radzieckim pisano niezmiennie jak najgorzej.

Prasa rozpisywała się też o mającym nastąpić niedługo uderzeniu Niemiec na ZSRR, celem przyłączenia wielkiej Ukrainy do małej Rusi Zakarpackiej, którą zajęły Węgry po niemieckiej okupacji Czechosłowacji w marcu 1939 r. Było to takie naiwne zachęcanie do militarnego zaangażowania się Niemiec przeciwko Rosji, byle poza granicami Polski.

Z dystansu czasu, oceniając politykę i dyplomację władz polskich, można by je zarzucić w zdaniu: nieustająca nadzieja na miłość z Rzeszą Niemiecką i niezłomna wrogość i nienawiść do Rosji bolszewickiej. I dopiero w tym kontekście można zrozumieć nagłą i niespodziewaną decyzję pragmatycznej Anglii udzielenia wówczas Polsce gwarancji pomocy w wypadku niemieckiej agresji. Obawiała się bowiem ona, że ewentualny przyjazny i pokojowy mezalians Niemiec z Polską, mógłby je za bardzo wzmocnić.



Była też tego pamiętnego lata wielka moda na różnego rodzaju bale i rauty. Bawiono się wiele i beztrzesko, zwłaszcza w kręgach elitarnych, na szczytach zasobności i władzy. Z konieczności służbowych i moi rodzice chodzili na różne oficjalne i strojne bale. Rodzice świetnie tańczyli, mama szła sobie modne, gustowne kreacje i miała zawsze duże powodzenie. Ale ojciec skrycie bardzo złorzeczył na to „balowanie”, jak mawiał, i na beztrzeski marazm i bałagan polski. I konsekwentnie i z determinacją przygotowywał się do naszej ucieczki ze Śląska.

Rodzice oficjalnie

Jeszcze jedna sprawa bulwersowała wszystkich w sierpniu 1939 r., emanując ze szpalt gazet i radia. Mianowicie słynny poszlakowy proces Gorgonowej, sądzonej za domniemane zabójstwo swej własnej córki. Proces trwał przez kilka miesięcy i podzielił dokładnie całe społeczeństwo. Moja mama uważała, że Gorgonowa jest niewinna, zaś ojciec twierdził, że na pewno jest morderczynią. Rodzice więc kłócili się porywczo między sobą z tego powodu, wszak bez jakiegokolwiek rezultatu, gdyż żadne z nich nie chciało zmienić swego przekonania w rzeczonej sprawie.

Pod koniec sierpnia byliśmy spakowani i gotowi do wyjazdu. Wpierw w dniu 28 sierpnia rodzice wyekspediowali bagażem kolejowym duży koszyk z rzeczami i ubiorami. Zaś następnego dnia, mama, siostra i ja, objuczeni kilkoma walizkami, załadowaliśmy się w Katowicach do pociągu osobowego, jadącego do Stanisławowa. Przy wsiadaniu do pociągu pomagał nam ojciec, w mundurze i przy broni, gdyż na stacji działy się dantejskie sceny. Pociąg z Poznania przyjechał już pełny, a na stacji czekał jeszcze tłum podróżnych. Mnie, siostrę i walizy ojciec podawał przez okno.

Separatka, do której weszliśmy była zajęta przez młodych poborowych z Poznańskiego, jadących do Rzeszowa w ramach zarządzonej w nocy powszechnej mobilizacji wojskowej (odwołanej zresztą tego samego dnia). Zrobili oni miejsce dla mamy, ja sie-

działem na jej kolanach, zaś siostra stała w środku przedziału razem z kilkoma innymi pasażerami.

Poborowi śpiewali, zachowywali się niezbyt sympatycznie. W pewnym momencie otworzyli drzwi do korytarza i wciągnęli do środka niskiego, starego Żyda. Przez kilka chwil popychali go między sobą i targali za pejsy, śmiejąc się przy tym i coś wykrzykując. Po czym wypchali go z powrotem na korytarz. Inni pasażerowie nic nie mówili, tylko moja mama nieśmiało stanęła w obronie starego człowieka.

Po południu przejeżdżaliśmy przez Tarnów. Widziałem przez okno zburzone skrzydło tarnowskiego dworca kolejowego, zamienione w stertę gruzów, usuwanych przez pracowników kolejowych i żołnierzy. Te zniszczenia, i śmierć kilkunastu osób, spowodowane zostały przez wybuch dużej mocy bomby zegarowej, ukrytej w walizce w przechowalni bagażowej na dworcu. Była to jedna z wielu sabotażowych akcji, przeprowadzonych przez dywersantów niemieckich.

W nocy przesiedliśmy się w Stanisławowie na lokalny pociąg do Monasterzysk. Do tego miasta, będącego celem naszej podróży, przyjechaliśmy rano w dniu 30 sierpnia. Za dwa dni, w piątek 1 września dowiedzieliśmy się, że Niemcy napadły w godzinach wczesnorannych na Polskę, rozpętując wojnę między obu krajami. Byliśmy przerażeni. Co z ojcem, który pozostał na granicy z karabinem w ręku? Co będzie z nami trojga, tutaj, na drugim krańcu Polski?

Dobrym znakiem było to, że 2 września dotarł do nas bagażem kolejowym duży kosz z naszymi rzeczami. Mama już nie liczyła, że go odzyskamy. Uwzględniając walizy, które mieliśmy ze sobą, to właściwie przewiezione zostały ze Śląska na nowe miejsce pobytu prawie wszystkie nasze rzeczy, prócz mebli, garnków i talerzy. Były sztucce, maszyna do szycia, radio, książki, a nawet część pościeli i prawie wszystko z ubioru. Nie miało się bowiem wówczas nazbyt wielu rzeczy. Dzisiaj w takim koszu i walizkach nie zmieściłyby się nawet moje książki.